

## 75 lat Teatru Polskiego w Warszawie

# Moja bezprzykładna wierność...

### Rozmowa z NINĄ ANDRYCZ

● Pani Nino, czy to prawda, że pani jest 52 rok na scenie?

— Najprawdziwsza prawda, choć chwilami ten fakt mnie samą zadziwia. A zaczęło się tak, na jesieni roku 1935 po raz pierwszy weszłam na wielką scenę Teatru Polskiego, do którego mnie zaangażował jego twórca i wieloletni honorowy dyrektor pan Arnold Szyfman. Na moje szczęście debiut artystyczny odbył się w „Królu Learze” Szekspira. Inscenizował dzieło sam Leon Schiller, a że znał mnie świetnie, bo byłam jego uczennicą w Szkole Dramatycznej, powierzył mi dużą i trudną rolę. Grałam od razu osobę z rodziny panującej, a mianowicie królową Reganę, wyrodną córkę Leara — Węgrzyną.

● Jak się pracowało z Schillerem?

— W sposób osobliwy i raczej nie spotykany u innych reżyserów. Schillera interesował przede wszystkim własny pomysł inscenizacyjny wielkiej dramaturgii. Temu zamysłowi były podporządkowane wszystkie inne sprawy, np. scenografia, muzyka, a nawet gra poszczególnych aktorów. Wiele czasu poświęcał organizowaniu przestrzeni scenicznej w szybko przecież zmieniających się planach dramatu i ustawieniu w niej scen zbiorowych. Nie znosił sztucznych akcesoriów, dajmy na to wymyślnych peruk na głowach kobiet. Nie lubił twarzyć nazbyt umakijażowanych. Kiedyś zapytałam go przed próbą generalną: „Panie profesorze, jak się właściwie mam ucharakteryzować?” Odpowiedział: „Nijak, natura panią bardzo dobrze ucharakteryzowała”.

Nawiasem mówiąc w następnej roli — Violetty w jego słynnym „Kordianie” — stanowczo sprzeciwił się włożeniu czarnej peruki... A na mój nieśmiały argument „Ależ panie profesorze, ona była Włoszka, a więc brunetką” Schiller tylko westchnął i rzekł: „Najpiękniejsze Włoszki są złoto-rude, peruka niepotrzebna”.

● Zaczęła pani od największego hitu dramatu

gii, reżyserów, odpowiedzialnych ról i tak już zostało na całe życie...

— To też oszczędny w słowach dyrektor Arnold Szyfman powiedział mi w kilka dni po premierze właśnie „Króla Leara” tylko jedno zdanie — w dodatku na korytarzu: „Będzie pani grała”. I słowa dotrzymał.

● Dlaczego nigdy nie chciała pani zmienić teatru?

— Bardzo wielu dziennikarzy zadawało mi i wciąż zadaje to samo pytanie, dotyczące mojej bezprzykładnej wierności Teatrowi Polskiemu. Sprawa jest dość złożona. Tyle przyczyn i tyle różnych uczuciowych motywacji zacydowało o owej wierności!

Może zacznijmy od tego, że gmach Teatru Polskiego został zbudowany według projektu znakomitego architekta Czesława Przybylskiego ożenionego z Różą Andryczówną, a więc „w cywilu” mojego wujaszka. Oto już mamy pierwszą więź, w pewnym sensie rodzinną. Następnie — debiut absolwentki Zelwerowicza, czyli moje pierwsze kroki na tej scenie, przyniosły mi nieoczekiwane piękne recenzje...

● Nie spodziewała się pani dobrych recenzji?

— Aż takich to nie. M. in pisał Wincenty Rzymowski, potem pierwszy minister Kultury i Sztuki Polski Ludowej, pisał Kazimierz Wierzyński. Dyrektor Szyfman pozwolił mi już podczas pierwszej angażującej rozmowy na paromiesięczny wyjazd do Wilna, gdzie mi zaproponowano Ofelię. Entuzjastyczną recenzję o tej młodzieńczej Ofeli napisał współzałożyciel „Żagłów”, Jerzy Zagórski. Takie pozwolenie na wyjazd było rzeczą niezmiernie rzadko stosowaną wobec początkującej aktorki, a więc jakże dla mnie zobowiązująca na przyszłość. A potem, w drugim sezonie pracy, powierzono mi rolę Solange w prapremierze „Lata w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza; od której zaczęła się kształtować moja legenda aktorska.

● W Teatrze Polskim współpracowała pani z całą plejadą gwiazd sceny...

— Występowałam u boku naszych największych, m.in. Marii Przybyłko-Potockiej, Marii Duleby, Seweryny Broniszówny, Kazimierza Junoszy-Stepowskiego, Aleksandra Zelwerowicza, Jerzego Leszczyńskiego. Reżyserowali poza wspomnianym już Leonem Schillerem — Aleksander Węgierko, pierwszy reżyser ówczesnego Teatru Polskiego. Był on twórcą spektaklu „Tessa” Graudoux, lepszego niż w Paryżu Edmund Wierciński reżyserował „Lato w Nohant” — jeden z największych sukcesów w całych dziejach naszego teatru oraz „Maskaradę” Iwaszkiewicza. Od tej pory datowała się moja przyjaźń z pisarzem.

● Z którym reżyserem najlepiej się pani pracowało?

— Trudno odpowiedzieć, bo wymieniałam krańcowo różne indywidualności reżyserskie. Najwięcej chyba nauczyłam się od Aleksandra Węgielki jak zresztą i wielu innych kolegów, że wymienię tylko

Elżbietę Barszczewską i Czesławę Wollejkę. Ten ostatni mawiał z ogromnym wdziękiem, że „Węgierko nauczył mnie raz na zawsze”.

Ale wracając do mojej wierności, cóż dziwnego, że po wielu latach narodziło się we mnie prawdziwe przywiązanie do „swego” teatru. Oczywiście, jak każda instytucja kulturalna, jak każdy żywy organizm, nasz teatr przechodził swoje gorsze i lepsze okresy... Byłam tych zmienności najboleśniej świadoma, ale właśnie w gorzkich chwilach kolega Stanisław Jasiukiewicz mawiał: „Nie porzuca się chorej matki”.

● Wojna wytrąciła pani i teatrowi pięć cennych lat z

● Którą z ról tego pierwszego okresu po wojnie najwyraźniej pani pamięta?

— Oczywiście Kasandrę z „Orestei”, bo gdy mówiłam o zagładzie miasta na widowni czasem słychać było szloch. Troja kojarzyła się widzom z Warszawą. A potem przyszła Szimena w „Cydzie”, granym ponad 200 razy...

● Pani Nino, ponieważ w jednej rozmowie nie sposób wyliczyć bogatej galerii pani ról na scenie Teatru Polskiego, zróbmy wielki skok w czasie i przejdźmy do dnia dzisiejszego...

— Zgoda. W dniach 14 i 15 stycznia byłam na gościnnych występach w bardzo pięknej,



Wspomnienia, wspomnienia... Nina Andrycz w roli Elżbiety Valois w przedstawieniu „Don Carlosa” Fryderyka Schillera na scenie Teatru Polskiego. Fot. MYSZKOWSKI

życia. Co pani robiła w czasie okupacji hitlerowskiej?

— Spędziłam czas okupacji w Warszawie, jak większość patriotycznie myślących artystów nie występowałam mimo „namów”, że strony gestapo Aby żyć dźwigałam znienawidzone tace w paru warszawskich kawiarniach. Wtedy właśnie zaczęłam systematycznie pisać, wyciągając z szuflady uzbierane już wiersze. Niektóre były zapisane na marginesach szkolnych zeszytów.

● Jak pani wspomina pierwsze lata po wojnie?

— Dyrektor Szyfman, uratowany w czasie wojny przez mojego przyjaciela, Ludwika Hieronima Morstina, natychmiast przystąpił do odbudowy zniszczonego Teatru Polskiego i organizowania zespołu z tych, co przeżyli. To był czas wspaniałego zrywu, jakiejś autentycznej pasji do przywróconej nam pracy. Po Warszawie pełnej ruin biegały jeszcze zdziczałe koty, kiedy prezydent Bierut przydzielił nam aktorski wspólny dom na Pradze. Potem dyrektora zdobyła ciężarówka, którą jechaliśmy na próby...

dużej sali Filharmonii Białostockiej. Były to wieczory hiszpańskie, składające się z fragmentów moich ról z wielkiej klasyki europejskiej, pieśń hiszpańskich w wykonaniu czołowej śpiewaczki Opery Łódzkiej Delfiny Ambroziak i gry Romana Ziemiańskiego na gitarze klasycznej. Zaczynałam fragmentem z „Don Carlosa” Schillera jako królowa Elżbieta, potem pojawiłam się jako narodowa bohaterka Hiszpanii, Mariana Pinęda z Garcii Lorki, kończyłam komediowym fragmentem z „Psa ogrodnika” Lope de Vegi...

● Z tego repertuaru wynika, że występując w innych miastach Polski reprezentuje pani nie tylko wielką dramaturgię, nie tylko swoje aktorstwo, ale i Teatr Polski, w którym powstały te spektakle i pani w nich role.

— Oczywiście, za każdym razem narrator wieczoru przedstawia widzom aktorkę Teatru Polskiego w Warszawie.

● Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:

BOŻENA ZAGÓRSKA